



31 Narzeczone księżki

25 Anna Piróg: jako matka mówić dość!

46 Trumpów dwóch

Wybory prezydenckie 2020

- 10 Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki **Pierwszy bierze wszystko**
- 13 Rafał Kalukin, Marcin Duma **SONDAŻ POLITYKI i IBRIS Szacujemy rezultaty pierwszej i drugiej tury**
- Polityka**
- 16 Adam Szostkiewicz **Co na to Kościół**
- 18 ROZMOWA POLITYKI Socjolog **prof. Bart Bonikowski** o tym, jak radykalny populizm otwiera drzwi dla autorytaryzmu
- 22 Ewa Siedlecka **Sądy rażone pandemią**

Społeczeństwo

- 25 Rozmowa z **Anną Piróg**, mamą Michała Piroga, tancerza i choreografa, o tym, co to znaczy mieć syna geja
- 28 Mariusz Sepiolo **Fenomen Zenka Martyniuka**
- 31 Katarzyna Zdanowicz **Kiedy ksiądz się zakocha...**
- 34 Piotr Pytlakowski **Przemysław Czarnek – Żokaz prezesa**
- 36 Joanna Cieśla **Koniec szkoły, początek nudy**
- 38 Martyna Bunda **Nieudane adopcje psów**

Rynek

- 41 Marcin Piątek **Dmuchiwanie na odmrożone**
- 44 Cezary Gebert **Taktyki ratowania turystyki**
- Świat**
- 46 Łukasz Wójcik USA **Z jakim Trumpem spotka się Duda**
- 49 Konstanty Gebert IZRAEL **Aneksja Zachodniego Brzegu**
- 52 Robert Stefanicki TAJWAN **Zalani przez fake newsy**
- 54 Filip Gańczak **Baron von Loringhoven – nowy ambasador Niemiec**

Nauka i cywilizacja

- 56 Iwona Jakubowska-Branicka **Znów tęsknimy za wolnością**
- 59 Prof. Grzegorz Mikusiński **– ile jeszcze wytrzyma przyroda**
- 62 Paweł Walewski **Uwaga na cukier!**

Historia

- 64 O pierwszych polskich informatyczkach opowiada **Karolina Wasielewska**, autorka książki „Cyfrodziejewczyny”
- 68 Andrzej Hennel **Czarnoskóre dzieci prezydenta Jeffersona**

Kultura

- 74 O nowym początku dla teatru mówią reżyserka **Agnieszka Jakimiak** i dyrektor Teatru Powszechnego w Warszawie **Paweł Łysak**
- 78 Olaf Szewczyk **Gra „The Last of Us Part II”: obraz świata po upadku**
- 80 O inwigilacji w PRL opowiada dokumentalista **Tomasz Wolski**, autor filmu „Zwyczajny kraj”
- 82 Jakub Demiańczuk **LGBT na ekranie**
- 85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- Na własne oczy**
- 92 Wojciech Szacki **Prezydencka kampania od A do Z**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
- 87 Passent • 88 Hartman
- 89 Tym • 90 Mizerski na bis
- 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polak przeciw Polsce

W chwilach wolnych od pracy i nużących zajęć domowych obserwuję świat spisków. Niestety z przykrością zauważam, że ostatnio w tym świecie trochę brakuje atrakcyjnego asortymentu.

Do spisków żydowskich jestem przyzwyczajony od lat, dlatego ujawnienie przez TVP, że Rafał Trzaskowski chce zabrać Polakom 200 mld zł w celu zaspokojenia roszczeń Żydów, nie robi na mnie wrażenia. Z kolei spiski w wykonaniu Koalicji Obywatelskiej są tak nieudolne, że bez trudu demaskują je nawet dziennikarze TVP. Weźmy spiszek, który doprowadził do wydania milionów złotych na wybory, które się nie odbyły, za co KO próbowała obciążyć winą rząd i ministra Sasina. Albo skandal polegający na wycofaniu sympatycznej Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, której start w wyborach popierali nawet zwolennicy Andrzeja Dudy, i zastąpieniu jej Rafałem Trzaskowskim – kandydatem niepopieranym przez nikogo oprócz jego zwolenników. W niedawnym liście do działaczy PiS Jarosław Kaczyński zapowiada kolejne groźne spiski KO, która chociaż słaba i skompromitowana, „ciągle ma bardzo duże możliwości i jest w stanie szkodzić”, ale przyznam, że jakoś nie bardzo w to wierzę.

Na tym bezbarwnym tle bardzo korzystnie prezentują się działania spiskowe w polskim Kościele. Np. upowszechniony

przez media list biskupa kaliskiego Edwarda Jania do innych biskupów, w którym Janiak zarzuca prymasowi Polski, abp. Polakowi udział w spisku przeciwko niemu. Zdaniem Janiaka w wyniku spisku, który Polak uknuł z wrogami Kościoła – braćmi Sekielskimi, ci ostatni nakręcili film „Zabawa w chowanego”, w którym udowodnili, że jako biskup kaliski Janiak przez trzy lata w pełni świadomie ochraniał księdza pedofila. Jeśli chodzi o Sekielskich, szczególnie bulwersujący jest dla Janiaka fakt, że – jak twierdzi – „nie jest tajemnicą, ile otrzymali pieniędzy za nagranie tego filmu”.

Zgadzam się, że kręcenie filmów za kasę stawia Sekielskich w dwuznacznym świetle. To, że nie umieli się przed wzięciem tej kasy powstrzymać i nie zdecydowali się zachować przyzwoicie, tzn. kręcić za darmo, mocno podważa wiarygodność ich zarzutów wobec Janiaka. Tym bardziej że w odpowiedzi Janiak zachował się fair i za atak na Sekielskich oraz Polaka nie wziął ani grosza. Ile za współpracę z Sekielskimi dostał prymas Polak, nie wiadomo, ale Janiak uważa, że publiczne atakowanie go i donoszenie na niego do Watykanu „w dzień przed uroczystościami 100-lecia urodzin św. Jana Pawła II” i tak ostatecznie Polaka kompromituje.





Bajki o odzyskanych miliardach

Kolejne wybory, PiS kolejny raz o tym, jak to za czasów PO wyłudzano podatek VAT. „To dzięki temu, że zabrano złodziejom te pieniądze, możliwy jest dzisiaj program 500+” – mówił m.in. w Brzegu Andrzej Duda. Wspominał o 50 mld zł „kradzionych” rocznie, ale w poprzednich kampaniach z ust polityków PiS padały większe liczby: od 250 mld do nawet 400 mld zł. Skoro tak, to gdzie są ci złodzieje i te skradzione miliardy? Ściganie ich i pozbawianie złodziejskich fortun miało być priorytetem rządu PiS. W nowych prokuraturach regionalnych, gdzie miała koncentrować się walka ze złodziejami VAT, utworzono specjalne wydziały finansowo-skarbowe. A żeby wszystko szło jak w dobrze naoliwionej maszynie, Zbigniew Ziobro wydał prokuratorom specjalne wytyczne – m.in. żeby sprawy VAT-owskie, jako te priorytetowe, przekazywać do wyższych instancji.

Tyle że nic z tego nie wyszło. POLITYKA dotarła do najświeższych danych Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia, które od początku monitoruje, jak ta walka za złodziejami VAT wygląda. Na początku większość spraw, którymi chwalił się PiS – łącznie z miliardem złotych zabezpieczonych w przestępczych fortunach – okazała się starymi sprawami wszczętymi przed 2015 r. A w sprawach, które wszczęły już nowe prokuratury regionalne w latach 2016–17 zajęto majątku na tylko nieco ponad 180 mln zł.

Im dalej, tym gorzej. Z najświeższych analiz Stowarzyszenia, wynika, że w latach 2018–19 te „flagowe” specwydziały prowadziły coraz mniej VAT-owskich śledztw. To spadek o ponad 57 proc. Mniej też „odzyskano” z majątków podejrzanych – aż o 83 proc.! Śledztwa VAT-owskie wróciły do prokuratur okręgowych; ich liczba na tym niższym szczeblu wzrosła aż o 49 proc. Spraw jest mniej,

to i zajmowanych majątków – skala zabezpieczeń majątkowych w sprawach wyłudzenia podatku VAT spadła o prawie 35 proc. Szczegółowy raport Lex Super Omnia ma przedstawić jesienią, ale zgromadzone dane już pokazują, że łapanie przez PiS złodziei VAT wyraźnie wyhamowało.

Nie udaje się też „przykleić” do spraw wyłudzeń VAT polityków Platformy. Trzy lata pracuje nad tym w Prokuraturze Regionalnej w Białymstoku cały zespół śledczy: trzech prokuratorów i po dwóch funkcjonariuszy CBA i ABW. Śledztwo dotyczy „zaistniałego, w okresie od 2013 roku do lipca 2015 roku w Warszawie, niedopełnienia obowiązków w zakresie działań związanych z regulacjami przeciwdziałającymi zjawisku wyłudzeń podatku VAT w obrocie sprzętem elektronicznym”. Politycy PiS wysłali tam dwa lata temu zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez byłego ministra finansów Jacka Rostowskiego i jego dwóch zastępców. W lipcu 2019 r. Maciej G., były wiceminister finansów, usłyszał zarzut „niedopełnienia obowiązków i spowodowania strat Skarbu Państwa w kwocie 3 mld zł z powodu nieuprawnionych zwrotów VAT”. Podstawą była – jak wynika z naszych ustaleń – jego oficjalna notatka ministerialna. I – jak mówi Paweł Sawoń, rzecznik białostockiej prokuratury – do dziś nikomu więcej zarzutów w tym śledztwie już nie postawiono.

Za to PiS miało mafię VAT-owską w swoich szeregach. Chodzi o dwóch wysokich rangą urzędników Ministerstwa Finansów. Są oskarżeni o kierowanie grupą przestępczą, która miała w latach 2015–18 wyłudzić 5 mln zł VAT. (VK)

Co z raportem Macierewicza?

Raport jest przygotowany, ale nie został jeszcze zgłoszony – takie zaskakujące stanowisko przedstawił **Antoni Macierewicz**, szef podkomisji MON, która bada katastrofę smoleńską. Macierewicz zabrał głos podczas posiedzenia sejmowej komisji obrony narodowej, która zebrała się 19 czerwca, po raz pierwszy od czterech miesięcy. Jego wypowiedź była reakcją na pytania posłów KO, którzy od dawna próbują się dowiedzieć czegoś, co w tym kosztów, składu oraz przebiegu prac nad raportem końcowym z jej prac. Ze słów Macierewicza wynika, że nie ma jeszcze ostatecznej wersji raportu, co więcej: że choć jest „napisany i gotowy”, to w kilku wariantach, nad którymi dopiero odbędzie się głosowanie. Nie wiadomo jednak ani kiedy to nastąpi, ani kiedy raport zostanie opublikowany. Macierewicz



stwierdził najpierw, że nie stanie się to do czasu zakończenia pandemii, ale już w następnym zdaniu zapowiedział, że raport „będzie w najbliższym czasie dostępny opinii publicznej”.

– Podkomisja nie chce ustalić prawdy, tylko sobie którąś z wersji prawdy Macierewicza przegłosuje. To będzie chyba pierwszy taki przypadek w historii badania wypadków lotniczych, gdy o wersji wydarzeń ktoś będzie decydował w głosowaniu – mówi Joanna Kluzik-Rostkowska (KO), członkini sejmowej komisji obrony. Był szef MON już co najmniej raz zapowiadał publikację raportu, który pierwotnie miał być przedstawiony w 10. rocznicę katastrofy. Jednak trzy dni wcześniej Macierewicz ogłosił, że: „Publikacja będzie musiała być przesunięta przynajmniej o kilka dni ze względu na Wielki Tydzień i obostrzenia związane z koronawirusem”. Podkreślał, że opóźnienie nie będzie duże i że „wkrótce” poznamy treść

raportu. Podczas posiedzenia sejmowej komisji Macierewicz nie pominął okazji, by zaatakować posłów KO, którzy w siedzibie jego podkomisji próbowali zdobyć informacje na jej temat. „Żądali wpuszczenia do zamkniętych pomieszczeń, do których można się dostać wyłącznie wtedy, jeśli jest odpowiednie uprawnienie do zapoznawania się z tajnymi oraz objętymi tajemnicą ustawy prawo lotnicze materiałami” – grzmiał. Trudno powiedzieć, jakie tajemnice miał na myśli, ale warto przypomnieć, że w 2006 r., gdy był szefem Służby Kontrwywiadu Wojskowego, zezwolił na wstęp do jej siedziby tłumacze rosyjskiego pochodzenia, pomimo że nie posiadała certyfikatu dostępu do tajemnic państwowych.

Ciekawie również wytłumaczył utajnienie nazwisk członków podkomisji. „To próba ataku na te osoby tak, żeby one były poddane publicznym atakom przez media, które są sterowane przez Platformę Obywatelską” – stwierdził w swoim stylu. Do uwag dotyczących kosztów poniesionych przez komisję w ogóle się nie odniósł. „Te kwestie będą zawarte w końcowym raporcie”. (GR)

KOMENTARZ

Podróż potrójnego ryzyka

Marek Świerczyński

Kiedy otworzą Państwo ten numer POLITYKI, Andrzej Duda będzie w drodze do Donalda Trumpa. Wizyta da prezydentowi 24-godzinną ulgę od wiecowego zgiełku i będzie okazją do zyskania nowych zdjęć z „najlepszym sojusznikiem Polski”. Najważniejsza ma być jednak nowa deklaracja, że zwiększy się amerykański kontyngent wojskowy nad Wisłą.

Tyle że według Johna Boltona, byłego doradcy Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, prezydent USA nie pamięta, aby obiecywał Dudzie jakieś wojska w ramach inicjatywy znanej niegdyś jako „Fort Trump”. Wspomnienia dyplomaty zatytułowane „Pokój, w którym to się działo” trafiły na rynek w przeddzień wizyty Dudy i są tematem numer jeden w Stanach (piszemy o niej na s. 46). Fragmenty dotyczące Polski nie będą publiczności w USA szczególnie interesować; nam jednak pokazują, że obietnic Białego Domu nie można zawsze brać serio. Kiedyś już się o tym przekonaliśmy. Podpisane w sierpniu 2008 r., w końcówce kadencji George’a W. Busha, porozumienie o bazie antyrakietowej zostało przez Baracka Obamę anulowane. W lipcu 2015 r. rząd PO-PSL proponował Amerykanom Ciechanów na główną bazę, dziś o Ciechanowie nikt nie wspomina. Polityczna

niepewność tego rodzaju przedsięwzięć to pierwsze ryzyko tej kampanijnej wyprawy.

Ala uzgodniona naprędce podróż nie miałaby sensu, gdyby Duda jechał w ciemno. Po zapowiedzi wycofania części wojsk USA z Niemiec i sugestii przeniesienia ich do Polski Warszawa liczy na deklarację, ilu ich będzie, gdzie trafią i kiedy przyjadą. Gra toczy się podobno o dowództwo korpusu – miało być w Niemczech, a ma być w Polsce. Spekulacje o broni nuklearnej pozostaną spekulacjami; więcej konkretów możemy usłyszeć o elektrowni atomowej. Do podpisu gotowe jest też prawnie wiążące porozumienie o obecności wojskowej. Minister obrony zawiezie plik zamówień, których wartość określi strona amerykańska. Trumpowi za sojusz trzeba płacić, a dla MON amerykańska broń jest „najlepsza na świecie”. Uzależnienie Polski od Ameryki wzrośnie, presja na załatwienie wszystkiego przed wyborami podniesie cenę. To drugie ryzyko.

Bolton w dobrym momencie przypomina, że „ukaranie” Niemiec za zbyt niskie wydatki obronne i zbyt ścisłe związki z Rosją od dawna było zamiarem Trumpa. Polski współudział w tym będzie źle odebrany w Europie, mimo że Warszawa twierdzi, iż na relokacji wojsk zyskałaby cała wschodnia flankę. Zamiar wycofania z Niemiec wzburił jednak wojskowych w USA, w obronie NATO stanęła demokratyczna opozycja, która jesienią może przejąć władzę w Białym Domu i umocnić się w Kongresie. Sukces Dudy, starającego się po swojemu wzmocnić obronność Polski, może Polsce zaszkodzić, jeśli osłabi NATO lub zwiększy niechęć do USA. To ryzyko trzecie, największe.

Bogaci kandydaci

Najbardziej majątnym kandydatem na prezydenta jest ten, który zarejestrował się jako ostatni. To Waldemar Witkowski, szef Unii Pracy, były wicewojewoda wielkopolski, który chce skrócić dzień pracy do 7 godzin, ma na koncie 4,5 mln zł i ponad 200-metrowe mieszkanie. Majątek miał zdobyć, jeszcze zanim w latach 90. zaangażował się w politykę (nabył prawa do byłego hotelu robotniczego w centrum Śremu, który po przekształceniu w czteropiętrowy biurowiec przeznaczył na wynajem). Drugi w rankingu majątności jest Stanisław Żółtek. Sam wyliczył, odpowiadając na apel „Super Expressu”, że jego majątek to: wart niemal 2 mln zł dom, dwa samochody i ponad milion złotych oszczędności. Prawdopodobnie niewiele mniej ma Andrzej Duda, choć to dane z 2014 r., z jego oświadczenia europoselskiego. Wtedy jego majątek wart był ok. 1,4 mln zł (m.in. 80 tys. zł oszczędności, do tego 50 tys. euro, dwa mieszkania, działka oraz samochód). Przez ostatnie pięć lat Duda zarabiał 20 tys. zł brutto, ale na swoje utrzymanie zbyt wiele nie musiał wydawać. Dwa lata temu małżeństwo Dudów kupiło 150-metrowe mieszkanie w apartamentowcu w Krakowie. Z kredytu na nieruchomości w banku Pekao Duda ma do spłaty jeszcze prawie pół miliona.

Fundacja ePaństwo poprosiła wszystkich kandydatów o opublikowanie na stronie komitetów wyborczych oświadczeń majątkowych. Nikomu się z tym jednak nie spieszy. Komitet Dudy odpisał, że „Prezydent nie ma nic przeciwko ujawnieniu oświadczenia



Kadry ze spotu Rafała Trzaskowskiego, w którym pokazał m.in. swój blok i 9-letnie auto.

majątkowego. Zgodnie jednak z ustawą, informacje zawarte w oświadczeniu o stanie majątkowym stanowią tajemnicę prawnie chronioną i podlegają ochronie przewidzianej dla informacji niejawnych o klauzuli tajności »zastrzeżone«. – W odpowiedzi pominięto ten fragment ustawy, który mówi, że prezydent może sam wyrazić zgodę na opublikowanie swojego oświadczenia. To zależy tylko od jego woli. Widać prezydent Andrzej Duda nie chce ujawnić stanu swojego posiadania – mówi Krzysztof Izdebski, dyrektor programowy Fundacji ePaństwo.

Już miesiąc temu swoje oświadczenie majątkowe opublikował Rafał Trzaskowski. Jako prezydent stolicy zarabia 12 tys. zł

brutto, a na koniec ubiegłego roku miał 48 tys. zł i 4,1 tys. euro oszczędności. Ma też 79-metrowe mieszkanie po rodzicach i drugie 103-metrowe. Z kolei Robert Biedroń jest współwłaścicielem dwóch mieszkań, ma ponad 160 tys. zł oszczędności i wart niemal tyle samo samochód. Z jego oświadczenia za zeszły rok wynika, że przez pół roku w europarlamencie zarobił ćwierć miliona złotych. Władysław Kosiniak-Kamysz ma 10 tys. oszczędności, wartę ok. 600 tys. zł mieszkanie oraz działkę rolną i budowlaną. Najskromniejsze zasoby ma Krzysztof Bosak – jedynie 10 tys. zł w gotówce. Nie wiadomo, co posiada Szymon Hołownia, bo nie pełnił dotąd żadnych publicznych funkcji i nie składał oświadczeń majątkowych.

Dlaczego jawność majątków jest ważna? – To przede wszystkim źródło informacji na temat potencjalnych konfliktów interesów, istnienia powiązań, które mogą polityka uzależniać od firm czy innych osób – mówi Izdebski. – Aby oświadczenia spełniały swoją funkcję, muszą być łatwo dostępne, możliwe do elektronicznego odczytania i pozwalające na zbadanie owych powiązań od początku pełnienia funkcji publicznych. W tej chwili żaden z tych elementów nie występuje. Wypełniane są ręcznie i publikowane w odstępach czasu wielu stron internetowych, a często po upływie np. 6 lat usuwane i niszczone. Fundacja zwróciła się do kandydatów, by poparli jej propozycję: elektroniczna i wspólna dla wszystkich baza oświadczeń majątkowych i brak ograniczeń czasowych w ich publikacji. Do chwili zamknięcia numeru żaden z kandydatów nie poparł w pełni tych postulatów. (DĄB.)

Nie wolno nam milczeć!

Marian Turski

Prof. Halina Taborska w książce „Sztuka w miejscach śmierci. Europejskie pomniki ofiar hitlerizmu” (Austeria 2019) w rozdziale poświęconym prześladowaniom homoseksualistów przez reżim nazistowski przypomina, że paragraf 175, obecny w niemieckim kodeksie karnym od maja 1871 r., obowiązywał w Niemieckiej Republice Demokratycznej do 1967 r., a w Niemieckiej Republice Federalnej – do 1969 r. W swym pierwotnym brzmieniu – zwany potocznie prawem sodomii – uznawał homoseksualizm jako „sprzeczny z naturą nierząd, do którego dochodzi pomiędzy osobami płci męskiej lub między człowiekiem a zwierzęciem”.



Hitlerowcy rozszerzyli i interpretację paragrafu 175. Od 1935 r. za przestępstwo zostało uznane trzymanie się za ręce oraz pocałunki osób tej samej płci, a „samo podejrzenie o homoseksualizm wystarczyło do uwięzienia, bez konieczności udowodnienia seksualnych kontaktów między oskarżonymi”. Data nieprzypadkowa: rok wcześniej (w czerwcu 1934 r.) odbyła się noc długich noży – krwawa rozprawa Hitlera z dowódcztwem SA i Ernstem Röhm, a zarzuty o homoseksualizm odegrały w tej rozprawie znaczącą rolę.

Wojna wydana homoseksualizmowi była częścią składową wojny Hitlera o „czystość rasy aryjskiej”, o jej „potencję i rozrodczość” – gej był synonimem zniewieściałości, a więc antyideałem wzorca germańskiego wojownika. Nie przypadkiem więc – i zwraca na to uwagę prof. Taborska – „Na stosach książek, które płonęły 10 maja 1933 roku w otwartej przestrzeni Berlina, znalazły się wszystkie publikacje dr. Magnusa Hirschfelda (1868–1935), założyciela powstałego w 1897 roku Instytutu Seksuologicznego w Berlinie – pierwszej placówki w Niemczech prowadzącej badania naukowe nad homoseksualizmem”.

Wśród pierwszych ofiar pierwszych niemieckich obozów koncentracyjnych – Sachsenhausen, Dachau, Flossenbürg – znaczącą część stanowili homoseksualiści.

Niektórzy szacują, że było to 30–40 proc.: kilka dziesiątków tysięcy. W **Auschwitz** było ich już stosunkowo niewiele. Encyklopedia „Auschwitz od A do Z” mówi o setce więźniów z różowym trójkątem. Ja sam, z mojego (krótkiego stosunkowo) pobytu w Auschwitz-Birkenau, mam ich w ułamkowej pamięci. Ze wstydem muszę to przyznać.

To my, pretendujący do miana światłych, racjonalnych, oświeconych, bezwiednie pozwalaliśmy deformować nasz system myślowy stereotypami utwardzonymi przez narodowych socjalistów. Byliśmy w obozie, my, więźniowie polityczni, Żydzi itp., uprzedzeni do więźniów z fioletowym winkiem, czyli kryminalnych, i trochę mniej – ale również – do tych z różowym. Może jakiś wpływ na ten ówczesny stan świadomości miał fakt, że więźniowie-oprawcy (Blockältester, Schreiber, Kapo) wręcz wymuszali usługi homoseksualne, choćby od młodocianych „wybrańców”, tzw. piplów.

Ludzi stygmatyzowanych różowym trójkątem czekał bardzo długi proces *coming out*. Symptomatyczne: nawet po wielu latach, gdy i w Niemczech, i w Wielkiej Brytanii już „zdekryminalizowano” homoseksualizm – kryli się za pseudonimami. Dowodem wstrząsające wyznanie (publikowane m.in. przez warszawski Ośrodek KARTA) sygnowane – wciąż jeszcze – zmyślonym nazwiskiem.

„Totgeschlagen. Totgeschwiegen” – to fragment napisu na pierwszym (jeśli moja wiedza jest pełna) publicznym znaku pamięci o homoseksualistach, wystawionym na widok publiczny dopiero w 1984 r.: „Porażeni śmiercią. Porażeni milczeniem”. Była to bowiem podwójna śmierć: śmierć fizyczna i śmierć przez wyparcie z pamięci następnych pokoleń. Klątwa podwójnego porażenia nie przeszła niestety do historii. Nadal ciąży nad atmosferą współzycia społecznego wielu krajów. Również mojego. Wstydzę się tego, że w moim kraju z niektórych ambon ludzie aspirujący do przywództwa duchowego posługują się argumentami anty-LGBT do utrzymania, czy raczej do zastrzymania, konserwatywnego myślenia społecznego. Wcześniej czy później znajdują się na pozycjach tych swoich poprzedników, którzy próbowali ukryć nauki Kopernika i Galileusza.

Wcześniej czy później – dla historii nie ma to wielkiego znaczenia, ale dla ludzi dotkniętych klątwą – „później” oznacza przedłużenie ich bólu, przedłużenie czasu pozbawienia ich praw obywatelskich, niekończący się, za ich życia, proces odzierania ich z godności ludzkiej.

Nie wolno nam milczeć! Nie wolno nam przyzwalać na dalsze porażanie milczeniem naszych współobywateli. Milczenie jest służką przemocy!

Tekst jest skrótem ze wstępu do przygotowywanej książki na temat homoseksualnych ofiar hitlerizmu.

Najnowszy numer już w sprzedaży!



- Wyborczy atak na LGBT
- COVID-19 wraca do Chin
- Elektrownia za płotem
- Protesty w USA
- Czarna strona „Vogue”
- W pogoni za smakami Meksyku
- Miasto księcia Salmana
- Japońska samoizolacja
- Macho poszukiwany
- Bombardowanie Filadelfii

COVID-19, TYDZIEŃ TRZYDZIESTY

PANDEMIA PRZYSPIESZA. LICZBA ZARAŻONYCH KORONAWIRUSEM NA ŚWIECIE ZBLIŻA SIĘ DO 9 MLN (według Johns Hopkins University, w poniedziałek 22 czerwca), a liczba ofiar śmiertelnych do 470 tys. Według analizy BBC, na podstawie nadumieralności w 27 krajach, faktyczna liczba zgonów z powodu koronawirusa jest przynajmniej o 130 tys. większa. W Europie generalnie sytuacja się poprawia, w USA liczba zachorowań stabilizuje się, a epicentrum znajduje się w Ameryce Łacińskiej – w Brazylii i Peru, a także w Meksyku, Chile i Ekwadorze – oraz w Azji. Ze 183 tys. nowych przypadków wykrywanych codziennie (to najwięcej od początku pandemii) większość przypada teraz na cztery kraje: Stany Zjednoczone, Brazylię, Rosję i Indie.

WUSA, najbardziej dotkniętych koronawirusem, w sumie zachorowało już 2,3 mln, a liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła 120 tys. (codziennie 20 tys. zakażeń i 800 ofiar); Nowym Jorku odnotowano sporą poprawę i stopniowo znoszone są ograniczenia, epidemia przesuwają się w kierunku środkowych stanów, m.in. Teksasu i Arizony. Podczas wiecu wyborczego w Tulsa, w Oklahomie, prezydent Trump wezwał, by ograniczyć liczbę testów, bo to „broń obusieczna”. Im więcej testów (przeprowadzono ich tu dotychczas 25 mln), tym więcej odkrytych zakażeń i subiektywne poczucie zagrożenia. Koronawirusa nazwał „kung-flu” (flu to grypa). Według prognozy Washington University liczba ofiar śmiertelnych przed listopadowymi wyborami przekroczy 200 tys. Druga pod względem liczby

zakażonych jest Brazylia – 1,1 mln przypadków (35 tys. nowych na dobę) i 51 tys. ofiar; tam sytuacja jest najdalsza od opanowania, a według wielu analiz dane są wielokrotnie zaniżone.

WRosji, trzeciej pod względem liczby przypadków (która szykuje się do referendum w sprawie przedłużenia prezydentury Władimira Putina), zanotowano ich blisko 600 tys. i 8,1 tys. śmiertelnych, która to liczba jest powszechnie podważana. Rekordy dzienne biją też Indie: 426 tys. zarażonych, 14 tys. ofiar. Szybko narasta pandemia w Afryce: na razie 260 tys. zachorowań, przede wszystkim w RPA, ale prognozy ostrzegają przed dramatycznym wzrostem. Po kilku tygodniach bez zachorowań nowe ognisko z ponad 200 zakażonymi odkryto w Pekinie, co może oznaczać drugą falę choroby: w mieście znów wprowadzono liczne ograniczenia i przeprowadzono 2 mln testów. Na Europę przypadają 4 z 10 najbardziej dotkniętych państw, wszędzie tam krzywa zachorowań powoli gaśnie. Także w najbardziej dotąd doświadczonej Wielkiej Brytanii (306 tys. przypadków, 42,7 tys. śmiertelnych), która przewiduje luzowanie obostrzeń.

Europa ożywa, od 15 czerwca Unia praktycznie otworzyła swoje wewnętrzne granice, choć są tu różne wyjątki, m.in. dotyczące Szwecji i Polski. Hiszpania zniosła stan zagrożenia epidemicznego, otworzyła granicę z Francją i od soboty wpuszcza bez kwarantanny Brytyjczyków, którzy mają ożywić sezon turystyczny, ale jeszcze przez tydzień nie będzie wpuszczać Portugalczków.



Na kije i kamienie

Indyjskie wojsko na granicy z Chinami w dolinie rzeki Galwan.

Zdziwnym spokojem reszta świata przygląda się militarnej konfrontacji Chin z Indiami. Ich himalajskie pogranicze to kombinacja roszczeń terytorialnych, mocarstwowych apetytów i niestarannie wytyczonej linii demarkacyjnej. Ostatnio oba państwa intensywnie wzmacniają obecność wojskową w regionie, przybysza więc pretekstów do przypadkowych spięć i pretensji, np. oskarżeń o budowanie posterunków obserwacyjnych lub dróg na terytorium

sąsiada. Indyjska próba zmuszenia Chińczyków do powrotu na swoją stronę była powodem starcia, do którego doszło w połowie czerwca w dolinie rzeki Galwan na wysokości ponad 4000 m n.p.m. Udział wzięły setki żołnierzy, karnie przestrzegających porozumień o zakazie noszenia w pobliżu granicy broni palnej, za to wyposażonych w kamienie, stalowe pręty i bambusowe tyczki z powbijanymi w nie gwoźdźmi. Zginęło (także z wyziębienia) kilkadziesiąt

osób, co najmniej dwudziestka Indusów, w ojczyźnie już zwanych męczennikami, i nieznana liczba Chińczyków. To pierwsze ofiary śmiertelne od lat 70. i najpoważniejsza potyczka od lat 60., od czasu trwającej miesiąc i w końcu przegranej przez Indie wojny granicznej.

Czy szykuje się powtórka? Choć ścierają się potęgi nuklearne, dysponujące najliczniejszymi armiami i rządzone przez przywódców starannie pielęgnyjących nacjonalizmy, to eksperci nie oferują przesadnie pesymistycznych prognoz. Konflikt bierze w karby wzajemny atomowy szach. Przy czym dalsza eskalacja może łatwiej pchnąć Indie, obecnie rozgrzane antychińskimi nastrojami i kampanią bojkotu produktów *made in China*, do pogłębienia sojuszu z USA w ramach amerykańskich wysiłków ograniczania chińskich wpływów. Na razie w Himalaje jadą kolejne oddziały, a np. Indie chciałyby od Rosji kupić ekspresowo kilkadziesiąt myśliwców. Kuszą też rachuby strategiczne. Przez sporny region wiedzie korytarz łączący Chiny z Oceanem Indyjskim, duży skrót w komunikacji z Bliskim Wschodem, Afryką i Europą, rozbudowany niebagatelnym nakładem ponad 60 mld dol. chińskich inwestycji, wydanych przede wszystkim w skłóconym z Indiami Pakistanem.

Sznycel za Unię

W piątek europejscy liderzy nie dogadali się w sprawie Funduszu Pomocowego dla UE. Chodzi o plan zwiększenia budżetu wieloletniego Unii – z 1,1 do 1,85 bln euro. Komisja Europejska, która jest autorem pomysłu, chce w ten sposób reanimować unijną gospodarkę zdruzgotaną przez pandemię. Plan wzbudza kontrowersje przede wszystkim dlatego, że zakłada wspólne zapożyczenie się na jego poczet przez całą Unię na skalę dotąd niespotykaną. Ale problemów, które ujawniły się podczas wideoszczytu, jest więcej.

Przeciwnikami Funduszu są państwa tzw. oszczędnej czwórki, czyli Austria, Dania, Holandia i Szwecja, wspierane w różnych sprawach przez Czechy i kraje bałtyckie. Nie podoba im się nie tylko „uwspólnotowanie długu”, które według części ekspertów łamie traktaty, ale również fakt, że większość tych pieniędzy Unia rozda w formie grantów, a nie pożyczek. Największy spór dotyczył jednak zasad rozdziału pomocy. Komisja chce, aby na tzw. klucz alokacji składały się trzy czynniki: populacja kraju beneficjenta, PKB per capita i średni poziom bezrobocia z lat 2015–19. Sprzeciw bogatszych państw wzbudził ten ostatni czynnik – dlaczego sięgać tak daleko w przeszłość i karać za reformy, które przyniosły spadek bezrobocia?

Brak porozumienia w piątek nie był zaskoczeniem – realne i pozorowane spory są elementem unijnego rytuału, który zakończy się zapewne przyjęciem porozumienia już w lipcu. Szczególnie że już widać, na czym polega taktyka niektórych „oszczędnych”. W weekend wiedeński „Der Standard” napisał, że austriacki rząd, w zamian za poparcie Funduszu, oczekuje zgody Komisji na niższy VAT w gastronomii (5 proc.). I tak zapewne – przy sznycu i piwie – jakoś się dogadają.



Ciotka Jemima znika z kuchni

Pogodna twarz Ciotki Jemimy zniknie z opakowań mąki na placuszki śniadaniowe i syropów popularnej serii produktów spożywczych Quaker Oats. Była codzienną twarzą Ameryki od 131 lat, ale już nie będzie, bo uosabia stereotypy rasowe. W jej ślady pójdzie zapewne uśmiechnięty Wujek Ben, firmujący popularną w połowie świata markę ryżu. I zażywna kucharka z opakowań Mrs. Butterworth's. Na fali wielkich emocji i debat po zabójstwie czarnoskórego George'a Floyda koncerny dokonują przeglądu swoich marek pod kątem poprawności rasowej. Sięgają daleko: Colgate wycofuje w Chinach i sporej części Azji popularną pastę do zębów Darli (dawniej Darkie) z wizerunkiem kolejnego Wujka Bena o błyszczących zębach.

Ruszyła też fala przeprosin za wydarzenia sprzed lat. Gigant rynku ubezpieczeń Lloyd's przeprosza, że ubezpieczał statki z niewolnikami i dorobił się na tym nieczym handlu. Brytyjska sieć browarów i pubów Greene King przeprosza za swojego założyciela, który trzymał niewolników na Karaibach i ostro występował przeciwko ich uwolnieniu. Właściciele niewolników, którzy w dodatku wywalczyli sute odszkodowania, kiedy niewolnictwo zostało zniesione, wytropili w swojej przeszłości wielkie banki: Royal Bank of Scotland, Barclays i HSBC – i solidarnie piszą teraz w oświadczeniach, że nie są z tej przeszłości dumne.

Nawet jeśli w dużej części są to działania PR, rodzaj zdobywania poprawnościowych punktów czy uprzedzanie potencjalnych kryzysów wizerunkowych, wskazują one, jak bardzo zmienił się klimat. Wyraźnie rodzi się nowa norma ocen i zachowań, tak jak wcześniej #MeToo przeorało inną sferę tabu. Nowe wolne od pracy płatne święto 19 czerwca, w rocznicę uwolnienia ostatnich niewolników w Teksasie w 1865 r., ustanowione w tym roku przez szereg koncernów, w tym General Motors, Ford, Nike, Google, Twitter czy Uber, też można traktować jako rzecz z pogranicza PR. Ale wcześniej nikt na taki pomysł nie wpadł. Więc jak śpiewał Bob Dylan „The Times They Are A-Changin’”.

Watykan przekłada świętopietrze



Wminioną sobotę na spotkaniu z medykami, pierwszym od wybuchu pandemii, **papież Franciszek** wzywał do solidarności z ofiarami wirusa, ich bliskimi, lekarzami, pielęgniarkami, ratownikami medycznymi, wszystkimi ludźmi zaangażowanymi w pomoc. I do solidarności społecznej, bo pandemia uderza bardziej w biednych, słabszych, zmarginalizowanych. Za wezwaniami idą konkrety. Franciszek przesunął z końca czerwca na początek października termin zbierania świętopietrza, powszechnego kościelnego podatku na cele dobroczynne. Ale Watykan funduszy potrzebuje. Zamknięcie muzeów i ogrodów watykańskich oznaczało ciężkie straty finansowe (średnio 87 mln dol. rocznie). Mimo to Watykan nie obniżył wynagrodzeń swym

pracownikom, natomiast negocjuje obniżki czynszów dzierżawcom apartamentów (2400) i lokali (600) należących w Rzymie do Kościoła. Z papieskiej kasy Franciszek wyłożył m.in. 750 tys. dol. na specjalny fundusz pomocy pandemicznej, prawie milion dolarów na podobny fundusz w samej diecezji rzymskiej, 60 tys. euro na zakup respiratorów dla diecezji Bergamo w Lombardii, najciężiej dotkniętej wirusem. Powstała watykańska spekomisja do spraw pandemii, współpracująca z globalną kościelną siecią charytatywną Caritas Internationalis. Papież modlił się o nawrócenie wszystkich osób próbujących się dorobić na wirusie. Apelowal do księży, by pierwsi dorzucili coś do funduszy pomocowych. Oby te modlitwy zostały wysłuchane.



Kto upilnuje Polski

Opozycja i jej wyborcy stanęli przed ostatnią szansą udziału w prawdziwej grze. Albo pokażą siłę i polityczny zmysł, albo po raz kolejny przegrają. W wyborach prezydenta nie ma częściowych zwycięzców. Pierwszy bierze wszystko. Reszta – nic.

JERZY BACZYŃSKI, MARIUSZ JANICKI

Najbardziej nietypowa kampania wyborcza w dziejach III RP wyłoniła już chyba definitywnie dwóch głównych kandydatów do prezydenckiego fotela (sondaż POLITYKI i więcej o szansach rywali s. 13). Kampania po raz pierwszy rozgrywała się w dwóch oddzielnych etapach, zdeorganizowana i przytłoczona pandemią, zamrażana i odmrażana, ze zmianami po drodze i „na rympał” regułami wyborczymi, chaotyczna, w ostatniej fazie coraz bardziej brudna. Obóz władzy, zapewne spanikowany rosnącymi sondażami Rafała Trzaskowskiego, użył w tej batalii już chyba wszystkich rodzajów amunicji: oprócz obietnic kolejnych wypłat gotówki czy megalomańskich planów inwestycyjnych, sięgnięto po stare tricki – homofobię, antysemityzm, ustawę antyaborcyjną, ba, przywołano nawet na pomoc Donalda Trumpa, amerykańskich żołnierzy i broń jądrową (nasz specjalny, ilustrowany „Alfabet kampanii” zamieszczamy na s. 92). Jednak teraz, kiedy nadchodzi czas głosowania, warto się otrząsnąć z kampanijnych wrażeń, emocji, irytacji.

Nie, to nie był i nie jest żaden konkurs na zwycięzcę kampanii, wskazanie tego, kto lepiej mówi, uśmiecha się czy sympatyczniej wypada w debatach. Nie wybiera się pomiędzy ludzkimi cechami, wizerunkami, kompetencjami czy rodzinami

kandydatów – choć urząd prezydenta to funkcja osobista. Dzisiaj w Polsce dokonuje się wybór, a właściwie plebiscyt, między wolnościową demokracją, tak jak została opisana w polskiej konstytucji, a systemem, w którym rządzący sami wyznaczają reguły, nie krępują się prawem, procedurami ani opozycją. Gdyby kandydat Koalicji Obywatelskiej nie zmienił się w maju, to przedstawicielem demokratycznego obozu byłby dziś zapewne nie Rafał Trzaskowski, lecz Szymon Hołownia lub Władysław Kosiniak-Kamysz, a „większościowego systemu” nadal Andrzej Duda. Personalia naprawdę nie mają tu większego znaczenia. Jeśliby z jakichś powodów w swoim czasie PiS podmienił Dudę na Beatę Szydło czy Mateusza Morawieckiego, w niczym nie zmieniłoby to istoty sporu.

Bez większego związku z kampanią wybory te mają spżowy wymiar polityczny i społeczny. Sceptycy ironizują, że tak samo mówiło się przed poprzednimi głosowaniami. To prawda, tak było za każdym razem po 2015 r., bo wciąż trwa ten sam polityczny i cywilizacyjny konflikt, bo w niczym nie zmieniają się idee i cele programu PiS, a nawet się radykalizują. I nadal chodzi o to, czy utrwali się „demokracja suwerenna”, dominacja większości, która nie znosi imposybilizmu, sprzeciwu, oporu, różnorodności, czy też ta „rewolucja” zostanie zastopowana. Chyba nikt, nawet



© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

w obozie PiS, nie ma złudzeń, że Andrzej Duda jest kimś więcej niż tylko namiestnikiem, „wiceprezydentem”, a w gruncie rzeczy polityczną marionetką w rękach jedynej prawdziwej głowy państwa, Naczelnika – Jarosława Kaczyńskiego. Nie ma więc czegoś takiego jak głosowanie „na Andrzeja Dudę”. To jedna z wielkich mistyfikacji tej kampanii. Są tylko głosy oddane na pełnię osobistej, już w żaden sposób niekontrolowanej, władzy dla Jarosława Kaczyńskiego. Lub przeciwko niej.

Jeśli Duda wygra wybory, system rządów, jaki przez ostatnie 5 lat budował PiS, zostanie zwięziony i domknięty.

Jeśli przegra, ta konstrukcja zacznie się nieodwracalnie sypać. Urząd prezydenta, wyłanianego w powszechnych wyborach, ale nie sprawującego realnej władzy, jest często traktowany jako jeden z historycznych dysonansów, dowód nielogiczności polskiej konstytucji. Ale właśnie w takiej sytuacji jak obecna może się okazać genialnym, profetycznym wynalazkiem „ojców założycieli III RP”. Kompetencje głowy państwa – prawo weta, zwoływania rady gabinetowej, rozpisywania referendum za zgodą Senatu itd. – są potężnymi instrumentami nacisku na władzę wykonawczą i, używane w dobrej wierze, mogą ją mitygować, ograniczać jej samowolę. W przypadku takiej władzy jak pisowska, ignorującej wszelkie głosy opozycji, de facto odmawiającej połowie Polaków prawa do własnego państwa, autonomiczna prezydentura jest bodaj ostatnią nadzieją na przywrócenie elementarnej równowagi systemu politycznego. Andrzej Duda zdegradował ten urząd – w jego podstawowej roli gwaranta konstytucji i symbolu narodowej wspólnoty – odebrał mu wagę i powagę, więc te wybory to także próba ocalenia sensu tej instytucji, głos za lub przeciw samej prezydenturze.

Pamiętajmy, że po wyborze głowy państwa nastąpi trzyletnia wyborcza przerwa. Obóz rządzący wiąże z tym antraktem wielkie nadzieje. Politycy Zjednoczonej Prawicy mówią, że zwycięstwo Andrzeja Dudy „wreszcie uspokoi nastroje”, rozstrzygnięcie polityczny spór w Polsce, nastąpi długo oczekiwana narodowa zgoda, koniec „wojny plemion”. W domyśle – wreszcie w pełni ujawni się pożądany konformizm, zacznie się szukanie miejsca

przy słusznej władzy, pogodzenie się i urządzanie w partyjnym państwie, które daje, ale kontroluje i wymaga lojalności. Nastąpi jedność moralno-polityczna, na wzór modelu węgierskiego, gdzie supremacja Viktora Orbána jest czymś oczywistym i już niewartym sprzeciwu. Wygrana Andrzeja Dudy, w tak wyrazistych, zero-jedynkowych wyborach, będzie ponadto potwierdzeniem, że PiS ma bezwzględną liczebną przewagę w społeczeństwie (a przynajmniej w tej jego części, która zechciała pofatygować się do wyborów). Krytycy zamilkną, opozycja się pokłóci i znacznie rozliczać, po czym zmarnieje i polegnie. Będzie jeden wielki zjednoczony obóz władzy i małe, kuriozalne, niekonstruktywne grupy, którym wicemarszałek Terlecki będzie w Sejmie wyłączał mikrofon przy huraganie braw większości.

Panowanie partii Jarosława Kaczyńskiego stało się od pewnego czasu naturalne. Nawet kiedy pojawiają się spadki notowań, od razu słychać komentarze, że to musi być przejściowe. PiS na pewno szybko to odrobi, wszak afery trwają w mediach trzy dni, a potem wszystko wraca do normy. Czyli do panowania Prawa i Sprawiedliwości, bo to stało się standardem. Doszło do tego, że zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego w wyborach, pokonanie tak słabego przecież prezydenta jak Andrzej Duda, byłoby wielką sensacją, zdziwieniem dekady. Wciąż niby trwa przekonanie, że niePiS jest liczniejszy niż PiS, ale zarazem mało kto wierzy, że Kaczyński jest do pokonania. Jak do tego mogło dojść?

Zbliżające się rozstrzygnięcie kończy tzw. czteropak, czyli cykl wyborczy po dojściu PiS do władzy w 2015 r. Nie były to udane czasy dla opozycji mimo wielu autentycznych starań, zawieranych i rozwiązywanych koalicji, protestów, akcji i demonstracji. Wybory samorządowe w 2018 r. spowodowały utratę władzy na rzecz PiS w kilku województwach, choć wynik w miastach był imponujący. Ale nie przekładało się to na wzrost poparcia dla opozycyjnych partii, zyskał raczej samorządowy, w dużej mierze pozapartyjny niePiS. Wybory europejskie na wiosnę 2019 r. miały być najłatwiejsze i przełamać hegemonię obozu władzy. Jednak nadzwyczajna mobilizacja wyborców PiS, podgrzana atmosferą wojny religijnej i obyczajowej (to wtedy po raz pierwszy na taką skalę i tak skutecznie zastosowano „broń LGBT”), przyniosła przyskrupienie i na trwałe rozbiła jedność opozycji.

Parlamentarna elekcja jesienią tego samego roku nie zmieniła sytuacji. Chociaż opozycja zdobyła minimalną przewagę w Senacie, Zjednoczona Prawica utrzymała większość w Sejmie i drugi raz z rzędu rządzi samodzielnie. Było to tym bardziej dotkliwe, że ponowna wygrana formacji Kaczyńskiego nastąpiła już po wielu ustrojowych i konstytucyjnych ekscesach władzy, zagarnięciu mediów publicznych, po walce z sądownictwem, samorządami, organizacjami pozarządowymi i wieloma grupami zawodowymi. W 2015 r. jeszcze wiele środowisk miało naiwną nadzieję, że nowa odsłona PiS będzie inna, że trzeba dać Kaczyńskiemu i jego ludziom nową szansę. Mimo że potem PiS radykalnie zaostrzył kurs, choćby w porównaniu z pierwszym okresem swojej władzy w latach 2005–07, ponownie przeszedł wyborczą weryfikację, dostał pieczętę: tak, jeśli nawet tego nie obiecywaliście, to nam się podoba.

W efekcie w opozycji pojawił się syndrom wyuczonych, „niedużych porażek”, szukania w klęskach minipozytywów.

Trwało przekonywanie siebie, że jest stały postęp, że przegrywa się coraz mniej, bo gdyby podsumować cały niePiS, odliczyć Konfederację, gdyby nie było ordynacji D'Hondta, to wychodzi prawie remis, a nawet arytmetyczna wygrana. Bo przecież z PiS wygrać się nie da: są zbyt bezwzględni, my tacy nie możemy być. Poza tym rozdają publiczne pieniądze, bezwstydnie kupują głosy. Ale w twardej politycznej rzeczywistości był to ciąg mniej lub bardziej upokarzających klęsk. To PiS seryjnie wygrywał wybory, a jedyny ►